

Styczeń 2009

Godność osoby

Chociaż nowa instrukcja watykańskiej Kongregacji Nauki Wiary dotycząca niektórych problemów bioetycznych, została zaaprobowana przez Benedykta XVI już w czerwcu 2008, ogłoszono ją dopiero pół roku później. Już tytuł odzwierciedla zasadniczy zamiar, jaki przyświecał jej przygotowaniu: chodzi o godność osoby („Dignitas personae”), która w opinii Kościoła katolickiego stanowi fundamentalne i niezbywalne kryterium oceny rozwoju techniki medycznej.

Cel dokumentu jest – rzecz by można – skromny: nie chodzi o przedstawienie nowej nauki, a raczej o aktualizację, a więc precyzację i dojaśnienie zasadniczych treści, wyrażonych przed dwudziestu laty w dokumencie „Donum vitae” z 1987 r. Nie ulega wątpliwości, że w tym okresie byliśmy świadkami niespotykanego dotąd rozwoju wiedzy i techniki medycznej: dogłębne poznanie mechanizmów rozwoju życia na poziomie molekularnym doprowadziło do pomnożenia możliwości ingerencji w integralność rozwijającej się istoty ludzkiej na bardzo wczesnym etapie jej rozwoju. Szczególnie dotyczy to wiedzy o początkach życia ludzkiego i inicjowania jego istnienia. Jednak to, co nowe z punktu widzenia medycyny, nie musi oznaczać „nowości” na płaszczyźnie teologiczno-etycznej. W zasadzie większość problemów moralnych, jakie pojawiły się w ostatnim dwudziestoleciu, stanowiło jedynie warianty znanej już problematyki. W instrukcji posłużono się podwójną argumentacją: z jednej strony są to argumenty teologiczne, z drugiej jednak – rozumowe, które mogą być czytelne również dla niewierzącego czytelnika. Dlatego też oprócz wiernych,

dla których jest to dokument o charakterze doktrynalnym, adresatami dokumentu są również *wszyscy, którzy szukają prawdy* (nr 2-3).

Zwornikiem całej argumentacji jest nienaruszalna wartość życia ludzkiego od poczęcia do naturalnej śmierci. Dokument podkreśla w szczególny sposób wartość życia ludzkiego embrionu, określając ją jako „godność właściwą osobie”. Obok jedności małżeństwa i specyficznie ludzkiej wartości płciowości, właśnie ten aspekt sprawia, że Kościół niezmiennie odrzuca zapłodnienie in vitro oraz analogiczne techniki inicjowania ludzkiego życia, uważając je za niemoralne. Oczywiście w instrukcji nie ograniczono się jedynie do cytowania dawnych wypowiedzi Magisterium, ale przedłożono nowe aspekty znanej już oceny moralnej.

Warto zwrócić uwagę na dwa fragmenty instrukcji, które – mimo znanej już oceny moralnej zapłodnienia in vitro – ukazują nowe elementy tej problematyki. Pierwszym z nich jest problem kriokonserwacji embrionów, czyli zamrażania ich w ciekłym azocie (nr 19). Technika ta znana była wprawdzie przed dwudziestu laty – i już wtedy została przez Magisterium potępiona jako uwłaczająca godności embrionu –, jednak obecnie niepomrotnie większy jest zakres tego problemu. W skali światowej mamy bowiem do czynienia z setkami tysięcy zamrożonych embrionów określanymi jako „nadliczbowe”, a z racji pozostawienia ich przez biologicznych rodziców swojemu losowi – „osierocone”. Instrukcja odrzuca kategorycznie pomysł wykorzystania tych embrionów dla celów badawczych. Możliwość taka stała się dla nauki atrakcyjna z racji badań nad potencjałem embrionalnych komórek macierzystych, które można uzyskać z wczesnych embrionów, niszcząc je przy tym. Jednak również propozycja rozmrożenia bez reaktywacji (co oznaczałoby ich obumarcie) została uznana za propozycję nie do przyjęcia. Instrukcja odnosi się jednak również negatywnie do propozycji tzw. „adopcji

prenatalnej” i wykorzystania zamrożonych embrionów przez inne pary niepłodne, chociaż nie neguje szlachetnych intencji, jakie mogą przyświecać gotowości przyjęcia zamrożonych zarodków. W paradoksalny sposób jednak takie rozwiązania, bez jednoczesnego zaprzestanie produkcji i zamrażania nowych embrionów, stanowiłyby w pewnym sensie moralne uprawomocnienie całej procedury, łagodząc jej negatywne moralne skutki, ale nie zapobiegając ich przyczynom. Wniosek, jaki formułuje instrukcja może się wydać deprimujący: *nie ma moralnie godziwego rozwiązania, które zapewniłoby ludzką przyszłość wielu tysiącom „zamrożonych” embrionów* (nr 19). Jednak należy podkreślić, że rozwiązywania problemów wynikłych z techniki zapłodnienia in vitro nie można rozpoczynać niejako „od tyłu”. Zasadniczym problemem jest bowiem niegodziwość podstawowej techniki produkcji embrionów, a nie dopiero ich zamrażanie.

Drugim poruszonym w instrukcji zagadnieniem, na które warto zwrócić uwagę, jest problematyka współdziałania chrześcijan w czynach określonych jako moralnie złe. Również to zagadnienie nie jest nowe. Jednak w kontekście nowych technik medycznych dotyczy coraz szerszego kręgu osób. Nie chodzi tu w pierwszej linii o osoby bezpośrednio – zarówno intencjonalnie, jak i faktycznie – włączone w działania z moralnego punktu widzenia złe. Sytuacja taka zawsze była oceniana przez Kościół jednoznacznie: współdziałanie takie, określone jako *formalne*, jest zawsze niedopuszczalne. Chodzi raczej o problemy moralne, jakie rodzą się u wierzących, którzy z racji wykonywanych zawodów w pewien dalszy, jedynie *materialny*, a więc drugorzędny sposób uczestniczą w działaniu moralnie złym. Chodzi konkretnie o wykorzystanie „materiału biologicznego” z niegodziwego źródła (np. wykorzystanie linii embrionalnych komórek macierzystych, uzyskanych przez innych badaczy, którzy dla tego celu uśmiercili embriony). Takie działania zostały określone

jako niegodziwe. Wykorzystanie takiego materiału równałoby się bowiem swoistej wtórnej akceptacji moralnie niegodziwego użycia embrionów dla celów badawczych. W instrukcji podkreślono obowiązek wyrażenia sprzeciwu wobec działań niemoralnych w zakresie prowadzonych przez osoby wierzące prac badawczych. Wskazuje się jednakże na zróżnicowanie odpowiedzialności, szczególnie w sytuacji wykorzystania np. przez rodziców szczepionek wyprodukowanych przy użyciu linii komórkowych niegodziwego pochodzenia: w tym wypadku sytuacja zagrożenia życia dziecka może upoważnić rodziców do skorzystania z tego typu szczepionki, *nie mniej jednak pozostaje obowiązek wszystkich, by wyrazić swój sprzeciw i zażądać od osób odpowiedzialnych za systemy opieki zdrowotnej, by dostępne były inne rodzaje szczepionek* (nr 35). Te rozróżnienia, które wydają się na pierwszy rzut oka zawile, mają jeden cel: przy całym realistycznym uznaniu nieuchronnego wplątania chrześcijanina – nierzadko bez lub nawet wbrew własnej woli – w działania moralnie złe, pozostaje obowiązek mobilizacji sumień do jasnego wyrażenia sprzeciwu wobec dokonującego się zła. Chrześcijanin nie może jedynie *teoretycznie* sprzeciwiać się złu, pozwalając *w praktyce* bez sprzeciwu wkomponować swoje działanie w struktury zła. Jeżeli struktury te mają zostać przezwyciężone, to będzie to możliwe jedynie poprzez jasne i odważne zajęcie stanowiska wszędzie tam, gdzie ludzkie działanie nie jest zgodne z duchem i literą Ewangelii. Takim jasnym i odważnym głosem sprzeciwu jest właśnie nowa watykańska instrukcja.

Luty 2009

Nowe życie?

Pojęcie „nowe życie” , które jest czasami używane także w kontekście chrześcijańskiego nawrócenia, pojawiło się ostatnio w tabloidach w odniesieniu do decyzji byłego premiera Kazimierza Marcinkiewicza. On sam określa zapowiedź swojego rozwodu z żoną i poślubienia nowej, znacznie młodszej życiowej partnerki jako nowy początek, poprzez który ma zamiar rozpocząć swoje życie niejako po raz drugi. Osobnym tematem do rozważań mogłoby niewątpliwie być pytanie, czy medialne zamieszanie wokół tej decyzji jest wynikiem wścibstwa i bezczelności dziennikarzy tanich codziennych gazet, którzy bez skrupułów wkraczają w prywatne życie polityków, czy też sam Marcinkiewicz pragnął wykorzystać medialną popularność dla swoich politycznych celów. Tym jednak, co tutaj warto rozważyć jest sam fakt rozbicia małżeństwa, porzucenia żony i czwórki dzieci i zamiar zawarcia powtórnego związku.

Przypadek Marcinkiewicza w niemalże klasyczny sposób powiela pewien schemat, związany ze współczesnymi realiami rynku pracy, szczególnie pracy za granicą. Oddzielenie od współmałżonka i rodziny na długie okresy czasu, szczególnie, gdy wiąże się z czymś, co można by określić jako „szok kulturowy”, czyli konfrontacją z obcym społeczeństwem i odmienną kulturą, musi w końcu doprowadzić do stworzenia swego rodzaju „nowego świata” wraz z nowymi przyjaciółmi, przeżyciami i miejscami, które stają się ważne. Jest to proces naturalny, który w innych sytuacjach może niewątpliwie być pozytywny i wzbogacający. W tym jednak przypadku sprawia, że to, co do tej pory było cenne i wartościowe, w tym także dawni przyjaciele, dawne przeżycia i stare miejsca, tracą blask i stają się mało ważne. Sytuacja taka

nabiera szczególnego wyrazu, gdy „nowy świat” nie podziela istotnych, szczególnie religijnych wartości, które decydują o tym, co dla człowieka jest święte. Pytanie o własną tożsamość staje się coraz bardziej dramatyczne i może prowadzić do agresji i lęku, skrywanego pod demonstracyjnie wyrażanym poczuciem wyższości, a czasami ostatecznie do porzucenia tego, co do tej pory było święte i wartościowe w imię nowych wartości. By taką niezwykle głęboko sięgającą zmianę uzasadnić, człowiek mówi wtedy o porzuceniu starych przesądów, unowocześnieniu swego sposobu myślenia, odwadze w podejmowaniu nowych wyzwań itd. Jak pokazują statystyki, niedocenianie przez małżonków wagi bycia razem i decydowanie się na dłuższe okresy rozłąki z racji podjęcia pracy daleko od domu, prowadzi do rozbicia wielu polskich małżeństw. Większość z nich tworzą ludzie młodzi lub w średnim wieku, co wiąże się z niemalże automatycznym wchodzeniem w nowe związki.

Sytuacja ta pociąga za sobą nie tylko poważne skutki społeczne w postaci np. wzrostu liczby tzw. „sierot rozwodowych” czy, jak mówią niektórzy – „euro-sierot”, ale jest także przyczyną dramatycznych rozterek dotyczących wiary. Powtórny związek po rozbiciu sakramentalnego małżeństwa (o ile tylko zostało ono ważnie zawarte) nie ma już godności chrześcijańskiego małżeństwa, a życie w nim wiąże się z zakazem przystępowania do komunii św., gdyż niemożliwe jest wcześniejsze uzyskanie rozgrzeszenia w sakramencie pokuty. Dla wielu współczesnych ludzi taka praktyka Kościoła katolickiego jest zbyt surowa, nie licząca się ze współczesnymi realiami. Jak twierdzi wielu krytyków, również Jezus okazałby więcej serca ludziom, którzy znaleźli się w takiej sytuacji i byłby bardziej wyrozumiały przynajmniej wobec tych, którzy zostali niesłusznie porzuceni przez współmałżonka.

Czy jednak ulegając tym sugestiom Kościół mógłby jeszcze wiarygodnie głosić naukę Chrystusa o małżeństwie? Wystarczy wyobrazić sobie sytuację proboszcza katolickiej parafii, który w jedno popołudnie rozmawiałby kolejno z trzema parami: parą żyjącą w powtórny związek po rozwodzie, parą małżonków znajdujących się w głębokim kryzysie i parą narzeczonych. Czy mógłby (wręcz – czy miałby prawo!) tym ostatnim mówić o przysiędze małżeńskiej miłości, wierności i uczciwości aż do śmierci, gdyby chciał pobłogosławić i uznać za równoważny związek tych pierwszych? Czy mógłby też zachęcać małżonków w kryzysie do wytrwałości i przebaczenia, gdyby przyznał jednocześnie, że powtórny związek po porzuceniu pierwszego małżonka jest również dobrym wyjściem? Słowo Chrystusa: „Co Bóg złączył, człowiek niech nie rozdziela” (Mk 10, 9) nie może zostać osłabione, gdyż stanowi fundament stabilnej rodziny, a ta – fundament społeczeństwa.

Owszem, życie pisze nierzadko bardzo zagmatwane historie, szczególnie gdy chodzi o losy małżeństw i rodzin. Celem duszpasterstwa nie powinno być w żaden sposób publiczne piętnowanie i stygmatyzacja tych, których wspólne dzieje nieszczęśliwie się poplątały. Ale duszpasterstwo nie może również stracić klarowności, gdyż byłaby to katastrofa dla przyszłych małżeństw i rodzin. Wierność i uczciwość małżeńska – to wartości, które pozostają nienaruszalne, a ich odrzucenia nie da się pogodzić z wiarą w Boga, który jest wierny i uczciwy wobec swojego Kościoła. Owszem, zastanawiać musi fakt, dlaczego nie tylko zwyczajni robotnicy sezonowi, ale i eksponowane osobowości, które szczyciły się swoją wiernością wobec wartości chrześcijańskich, łamią się jak zapałki pod wpływem konfrontacji z laicką kulturą, a ich uroczyste zobowiązania i przyrzeczenia tracą jakąkolwiek wartość. W kontekście tylu rozbitych małżeństw i rodzin nie sposób nie zapytać o jakość wiary Polaków, która okazuje się za słaba wobec naporu

odurzającej iluzji życia wolnego od ram i norm płynących z wiary. Dalsze losy tych, którzy wybrali tak rozumiane „nowe życie”, nie pozostawiają złudzeń: będzie ono zawsze budowane na gruzach dawnych, złamanych przyrzeczeń, a takie budowle rzadko są stabilne.

Marzec 2009

Wolność jest w nas

Film Rafała Wieczyńskiego o księdzu Jerzym Popiełuszce robi wrażenie. Oczywiście dla kogoś, kogo młodość upływała na oglądaniu filmów z Jamesem Bondem, będzie on może mało błyskotliwy i pozbawiony spektakularnych efektów. Przede wszystkim jednak główny bohater jakoś mało przypomina partyzanckiego bojownika, który swoim magnetycznym oddziaływaniem przyciąga i organizuje masy do walki z reżimem. Autorzy niektórych komentarzy piszą z nonszalancją, że właściwie nie wiadomo, czym Popiełuszko przyciąga do siebie tylu tak różnych ludzi. Takie negatywne oceny mogą formułować chyba jedynie ci, którzy czasy realnego socjalizmu znają z komiksów i słuchają opowieści opowiadające o tym okresie jak historii Bitwy pod Grunwaldem.

Owszem, w filmie pojawiają się elementy, które można by określić jako „hagiograficzne”. Mimo to film „Popiełuszko. Wolność jest w nas” z wielkim wyczuciem opowiada o czasach, gdy Polska była przykryta całunem *bratniego związku*, który miał aspiracje – jak śpiewano w „Międzynarodówce” – *ogarnąć ludzki ród*. Walka, jaką prowadzili ludzie pokroju księdza Popiełuszki nie była walką na hasła, ale zmaganiem, które dla części z nich okazało się śmiertelną grą.

Ksiądz Popiełuszko pozostanie na zawsze prorokiem tamtych czasów, człowiekiem, który właśnie dlatego skupiał wokół siebie tłumy ludzi różnego autoramentu, że dawał nadzieję i poczucie godności w czasach upodlenia. Nie był wojownikiem, ani też charyzmatycznym mówcą – film Wieczyńskiego pokazuje to bardzo dobrze. Na ekranie pojawia się zwykły ksiądz, odrobinę nieśmiały, obarczony najzwyczajniejszymi ludzkimi słabościami, poczynawszy od odrobiny próżności i zachłyśnięcia się popularnością, poprzez obezwładniające poczucie bezradności wobec okrucieństwa milicji i bezpieki, aż po lęk przed nieznaną przyszłością i konsekwencjami działalności patriotycznej. Ale jednocześnie w tej, zdawać by się mogło, przeciętnej postaci, dostrzega się coś niezwykłego. Popiełuszko potrafił w zamęcie, który go otacza, bardzo szybko odzyskiwać „pion”, ciągle na nowo dostrzec to, co istotne, najważniejsze. Widzi jakby dalej i głębiej, niż otaczający go ludzie. Widzi inaczej, niż oni, bo oprócz wspólnego wszystkim sprzeciwu wobec zakłamania i zniewolenia, żyje w jego świadomości Ewangelia Chrystusa. I właśnie dlatego potrafi znaleźć słowa, które czynią naukę Chrystusa niezwykle bliską i aktualną, zrozumiałą dla prostych ludzi, jakby na przekór temu, że monotonny i bezbarwny tembr jego głosu w niczym nie przypomina płomiennych przemówień rewolucjonistów.

Wiarygodność i rzetelność scenariusza niech we wszystkich szczegółach ocenią historycy. Dla widza, które zna tamte czasy z własnego doświadczenia film jest po prostu prawdziwy. Warto jednak zapytać, czy mamy tu do czynienia jedynie z obrazem historycznym? Czy wraz ze specyficznym kolorytem czasów stanu wojennego odeszło w przeszłość także przesłanie, za które ks. Jerzy oddał swoje młode życie? Czy warto było aż tak dalece prowokować ówczesne władze? A może to właśnie spokojni negocjatorzy, którzy ze spokojem i rozwagą przeczekali złe czasy, są prawdziwymi

bohaterami, a drobny ksiądz z niewielkiej podlaskiej wioski – jedynie egzotycznym wprawdzie, ale nieżyciowym Don Kichotem, rzucającym się nie wiadomo czemu do z góry przegranej walki z wiatrakami? W dobie poprawności politycznej taka wersja historii kapelana „Solidarności” wydaje się bardzo prawdziwa i przekonująca. Wydaje się być taką. Tylko, że taką nie jest!

W jednej ze scen, gdy współpracownicy ks. Jerzego, ku jego przerażeniu, nawołują go do twardszych wypowiedzi i bardziej stanowczego potępienia komunizmu, on oświadcza, że nie walczy z ludźmi tylko ze złem. I to jest chyba ponadczasowy rys tej bohaterskiej postaci. Odwaga w walce ze złem, jakąkolwiek postać by przyjęło.... Gdzie zostanie dostrzeżone i zidentyfikowane, nie wolno się go lękać, bo to je jedynie rozzuchwala. Ale też nie wolno przyjąć jego własnej taktyki i w dobrej sprawie sięgać do podłych środków w złudnej nadziei, że przyniosą one pewne i szybkie efekty i pozwolą po wszystkim powrócić do prawości i dobroci.

Ostrzeżenie przed lękiem, powtarzane przez wielkie postaci tamtych czasów, jak np. przez ks. Franciszka Blachnickiego, demaskuje taktykę, jaką zazwyczaj posługuje się zło, szczególnie w swojej zinstytucjonalizowanej postaci. Najskuteczniejszą z metod jest obezwładnienie potencjalnych przeciwników poprzez lęk. Przekonanie, że przeciw złu nie warto protestować, bo to może przynieść jedynie kłopoty, że bezpieczniejszą będzie postawa wyczekiwania, nie ujawniania własnych poglądów – to są mentalne narzędzia, którymi można dowolnie urabiać masy jak plastelinę. Wydawać by się mogło, że w czasach, gdy o cenzurze czyta się jedynie w historycznych opracowaniach, a swoboda wypowiedzi jest powszechnie uznaną zasadą społecznej komunikacji, te nawoływania Popiełuszków i Blachnickich będą głosami z zamierzchłej epoki. Paradoksalnie jednak to właśnie nasze czasy

wygenerowały pojęcie i postawę poprawności politycznej, która nie ma nic wspólnego z niezbędną roztropnością i kulturą w uzewnętrznianiu swoich poglądów, ale staje się formą kolaboracji ze złem poprzez milczenie. Są sprawy, o których milczeć nie wolno. Głos świadomych swojej wiary katolików musi być słyszalny, inaczej – jak za czasów Popiełuszki – zło się jedynie rozzuchwala. Sprzeciw wobec zła jest fundamentem i wyrazem prawdziwej wolności, chociaż w sposobie wypowiedzi, pełnym szacunku i wielkiej ludzkiej klasy, katolicy nie powinni się dać nikomu prześcignąć. Choćby jedynie ta nauka pozostałaby po filmie Rafała Wierzyńskiego o księdzu Popiełuszcze, to wystarczy, by ocenić ten obraz jako wydarzenie kulturalne o wielkiej randze.

Kwiecień 2009

Prezerwatywy dla Benedykta XVI

Właściwie w zdaniu, które Benedykt XVI wypowiedział na pokładzie samolotu w czasie podróży apostolskiej do Kamerunu, nie było nic nowego ani zaskakującego. Negatywne stanowisko Watykanu w sprawie używania prezerwatyw jest znane od dawna i było wielokrotnie podkreślane przez Jana Pawła II. Owszem, również wtedy wywoływało sprzeciw, jednak reakcja na ostatnią wypowiedź Benedykta XVI w jaskrawy sposób wykracza poza dotychczasową kontestację stanowiska Kościoła. Odnosi się wrażenie, jakby środowiska liberalne i lewicowe postanowiły poprzez tak zmasowany atak uczynić wszelką krytykę propagowania prezerwatyw nie tylko niepopularną, ale wręcz niedozwoloną. Nie przypadkiem ten zmasowany atak nastąpił właśnie teraz, niedługo po kontrowersyjnej decyzji Benedykta XVI dotyczącej zniesienia ekskomuniki na biskupów, wyświęconych bez zgody Stolicy Apostolskiej przez arcybiskupa Marcela Lefebvre'a. Na skutek fatalnej niezręczności i

niedopatrzaniu dyplomacji watykańskiej, która nie zbadała wypowiedzi jednego z lefebvrystowskich biskupów na temat zagłady Żydów w czasie drugiej wojny światowej, papież został oskarżony niemalże o negowanie Holokaustu. Skandal dyplomatyczny wokół tej kwestii zupełnie przyćmił samą wymowę gestu pojednania z dysydencką grupą wiernych Kościoła katolickiego i skłonił Benedykta XVI do wydania wyjaśniającego listu do biskupów. To nadwątlenie autorytetu Stolicy Apostolskiej przyczyniło się, jak się wydaje, do tym silniejszych ataków, na zasadzie wykorzystania i podsycenia istniejącej już awersji wobec papieża.

Cóż takiego jednak powiedział Benedykt XVI? Stwierdził, że problemu AIDS w świecie nie da się rozwiązać jedynie środkami finansowymi, czy dystrybucją prezerwatyw, gdyż to jedynie pogłębia istniejące już problemy. Czy takie stwierdzenie jest nieprawdziwe? Stosowanie prezerwatyw zmniejsza wprawdzie znacznie ryzyko zakażenia wirusem HIV, ale nie jest w stanie go całkowicie wyeliminować. Paradoksalnie więc, błędne przekonanie o stuprocentowej skuteczności ochrony dzięki prezerwatywom przyczynia się do częstszego i odważniejszego podejmowania zachowań ryzykownych (częstej zmiany partnera i bezrefleksyjnego podejmowania współżycia seksualnego), co z kolei znacznie zwiększa ryzyko zakażenia. W tym sensie zdanie papieża jak najbardziej odpowiada prawdzie. Sama dystrybucja prezerwatyw, prowadzona od lat dużym nakładem sił i środków, jak dotąd nie przyniosła znaczących rezultatów. Kraje, w których udało się poważnie zmniejszyć odsetek zakażonych (np. Uganda) prowadziły zakrojoną na szeroką skalę akcję propagowania wstrzemięźliwości seksualnej i wierności. Problem AIDS, jak wszystkie inne problemy związane ze sferą zachowań seksualnych, pozostaje problemem postaw i rzeczywiście nie da się go rozwiązać jedynie za pomocą środków profilaktycznych.

Skąd więc ten atak, którego symbolem stały się internetowe nawoływania do przesyłania Benedyktowi XVI wielkiej ilości prezerwatyw? Jak się wydaje, środowiska wrogie Kościołowi postanowiły walczyć z jego nauczaniem przy pomocy nowej taktyki. Nie jest to już ostry merytoryczny spór, swoista wojna na argumenty, ale zmasowany atak medialny, nie cofający się przed elementami werbalnej przemocy. Nie padają przy tym żadne argumenty, jakby rzekoma absurdalność stanowiska Kościoła oraz racja jego krytyków, były ewidentne. Celem tego ataku jest z jednej strony wywołanie atmosfery lęku po stronie odpowiedzialnych w Kościele, szczególnie biskupów i kapłanów, by całkowicie unikali podejmowania tematów związanych z AIDS, antykoncepcją czy homoseksualizmem. Nagrodą za tego typu werbalną kapitulację ze strony Kościoła miałyby być względny spokój medialny, zaś w razie nie stosowania się do tego zakazu wypowiedzi, ktoś naruszający go musiałby się liczyć z frontalnym atakiem nie tylko na jego osobę, ale na całą instytucję. W takim świetle staje się zrozumiały rozmiar krytyki, która spadła na papieża nie tylko ze strony pojedynczych osób czy środowisk, ale także głów państw (np. Francji czy Niemiec), poważnych czasopism naukowych („The Lancet”) oraz organizacji (Międzynarodowa Organizacja Zdrowia). Według krytyków papież jest nie tylko ograniczony, zacofany i nieodpowiedzialny, ale publicznie przeinacza wyniki badań naukowych w imię krzewienia religijnej doktryny, a nawet staje się przyczyną humanitarnej katastrofy.

W takiej atmosferze nie tylko hierarchowie Kościoła, ale również większość świeckich, którzy mają odmienny pogląd na tę kwestię, będzie się obawiała wyrażenia swojej opinii, bo któż chciałby zostać publicznie posądzony o wywołanie katastrofy humanitarnej i przyczynianie się do śmierci setek tysięcy ludzi? Konieczność korzystania z prezerwatyw staje się w ten sposób rodzajem laickiego „dogmatu”, którego kontestacja kończy się publiczną

werbalną egzekucją. Dziwne, że całkowite wykluczenie rzeczowej debaty i medialna tabuizacja każdej krytyki tego rodzaju profilaktyki dokonuje się właśnie w społeczeństwach, które szczycą się wolnością słowa, tolerancją dla inaczej myślących i stwarzaniem przestrzeni dla swobodnej wymiany myśli.

Przekraczające granice zdrowego rozsądku krytyka Benedykta XVI jest bardzo niepokojącym symptomem nowej jakości w debacie publicznej. W miejscu rzeczowego sporu dochodzi do werbalnej penalizacji niepopularnych poglądów. Trzeba podziwiać głęboki i proroczy wgląd Jana Pawła II w mechanizmy rządzące współczesnymi społeczeństwami, gdy w kontekście walki o godność ludzkiego życia przestrzegał przed mentalnością, w której *czynnikiem kształtującym decyzje i działania w sferze relacji między osobami i współżycia społecznego staje się siła. Jest to jednak dokładne zaprzeczenie tego, do czego dążyło w ciągu dziejów państwo prawa jako wspólnota, w której „racja siły” zostaje zastąpiona „siłą racji”* (Encyklika „*Evangelium vitae*”, nr 19). W obliczu tego nowego zagrożenia istotnym zadaniem chrześcijan jest nie tylko jasne wyrażanie sprzeciwu wobec zakazu krytycznych wypowiedzi w stosunku do współczesnej hedonistycznej i indywidualistycznej kultury, ale jasne i dobrze udokumentowane przedstawianie własnych poglądów. Jest to służba na rzecz cywilizacji miłości, z której budowania chrześcijanie zrezygnować nie mogą.

Maj 2009

Sapientia et Scientia

Jak można było oczekiwać, podróż apostolska Benedykta XVI do Ziemi Świętej spotkała się z żywym zainteresowaniem mediów na całym świecie. W morzu (czasami irytującą płytkich) komentarzy dotyczących tego, co papież powiedział, czego nie powiedział, co musiałby, co mógłby, a czego nie powinien

był powiedzieć na temat holokaustu, konfliktu izraelsko-arabskiego, stosunków z Islamem itd., stosunkowo małe zainteresowanie wzbudziło przemówienie papieskie wygłoszone 9 maja z okazji poświęcenia kamienia węgielnego pod budowę Uniwersytetu Madabay. Będzie to pierwszy uniwersytet w Jordanii, który powstał z inicjatywy Kościoła Katolickiego, chociaż przeznaczony jest dla studentów różnych religii.

Papież w gorących słowach poparł tę inicjatywę. Jego przemówienie oparte było na refleksji na temat motta, które przyjął uniwersytet: „Sapientia et Scientia” (mądrość i wiedza). Klasyczna łacina odróżnia znaczenie tych dwóch pojęć, chociaż w języku potocznym bywają one używane zamiennie. Podczas gdy drugie z nich (*scientia*) oznacza wiedzę bądź naukę, rozumianą współcześnie zazwyczaj w kontekście nauk empirycznych (ang. *science*), pierwsze z tych pojęć (*sapientia*) oznacza mądrość, a więc integrację empirycznej wiedzy o faktach w całość doświadczenia człowieka, które tę wiedzę znacznie przekracza. Chrześcijaństwo zawsze w ten właśnie sposób widziało edukację: jako całościową wiedzę o świecie i człowieku. Nie może ona jedynie obejmować wiedzy o faktach, wiedzy technicznej – chociaż to właśnie dzięki niej możliwe stały się odkrycia i wynalazki ostatnich dwóch stuleci. Jeżeli postępowanie człowieka będzie oparte jedynie na tej wiedzy, szybko okaże się, że może ona służyć również do celów destrukcyjnych, czego świadkiem stały się te same dwa ostatnie stulecia dziejów świata.

W swoim przesłaniu Benedykt XVI wskazuje właśnie na ten aspekt. *Wykorzystanie wiedzy naukowej potrzebuje światła mądrości etycznej. [...] Mądrość religijna i etyczna, odpowiadając na pytanie o sens i wartość, odgrywają centralną rolę w formacji zawodowej. W konsekwencji te uniwersytety, na których poszukiwanie prawdy jest powiązane z poszukiwaniem tego, co dobre i szlachetne, oddają społeczeństwu niezbędną posługę. Można*

by te słowa papieskie sformułować też inaczej: tam, gdzie wartości etyczne są postrzegane jedynie jako dodatkowe, a więc w sytuacji konfliktu – zbędne uzupełnienie wiedzy empirycznej, tam wiedza staje się dla społeczeństwa niszcząca. Stąd zmysł krytyczny i umiowanie prawdy, zdobywanie wiedzy i rozwój technologii, wolność badań naukowych i niezbędna do rozwiązywania konkretnych problemów pragmatyka, będą prawdziwie służyć człowiekowi, jeżeli przeniknie je mądrość etyczna, głęboki szacunek dla człowieka i człowieczeństwa.

Dodatkową szansę dla Uniwersytetu Madaby Benedykt XVI widzi w spotkaniu różnych światopoglądów, nieuniknionym w mieszaninie religii i kultur, jaka charakteryzuje Jordanię, ale także wielce potrzebnym w kontekście przejawów przemocy na tle religijnym. Planowany Uniwersytet może stać się nie tylko miejscem indywidualnego rozwoju jednostek, poszerzaniu zakresu wiedzy naukowej, ale może być także miejscem pokojowej konfrontacji i owocnego sporu, których uczestnicy z jednej strony nie muszą wyrzekać się własnej tożsamości kulturowej, religijnej i światopoglądowej, a z drugiej mogą poznać i zrozumieć ludzi inaczej myślących i wierzących. Papież nie waha się przy tym mówić o ubogaceniu innymi światopoglądami, wyraża jednak też nadzieję na to, że ta intelektualna, akademicka konfrontacja przyczyni się do tolerancji, zrozumienia i w efekcie – pokoju.

Wobec faktycznej sytuacji na Bliskim Wschodzie te nadzieje papieża są przez wielu uznawane za nierealistyczne. Czyż jednak istnieje inna droga ku pokojowemu współistnieniu religii i światopoglądów, jak budowanie płaszczyzn wymiany, dialogu i wspólnego dążenia do prawdy. Znakomitą formą budowania takiej właśnie płaszczyzny dialogu jest uniwersytet, o ile jego idea nie zostanie spłaszczona i zredukowana do roli czysto mechanicznego powiększania zakresu wiedzy i możliwych jej zastosowań; o ile gromadzenie wiedzy nie zostanie

arbitralnie oddzielone od pytania o godziwość stosowanych środków badawczych i moralny wymiar możliwych zastosowań.

Postawienie mądrości przed wiedzą w motcie Uniwersytetu Madaby wskazuje nie tylko na konieczność dania pierwszeństwa osobie przed rzeczą, mądrości etycznej przed techniczną, ale także na konieczność zrównoważenia każdego spotu poprzez szacunek dla człowieka, również tego, który myśli inaczej. Coraz wyraźniej widać, że taka hierarchia wartości może zadecydować o losie naszej cywilizacji.

Czerwiec 2009

Dwudziestolecie

4 czerwca 2009 r. świętowano w Polsce dwudziestą rocznicę pierwszym częściowo wolnych wyborów, które zmieniły polityczne *status quo* w Polsce po czterdziestu pięciu latach rządów komunistycznych. W zależności od opcji politycznej, rocznica ta była świętowana lub bojkotowana. Co dla jednych było przełomem i początkiem zmian nie tylko w Polsce, ale i w całym ówczesnym Bloku Wschodnim, dla innych było zdradą niezależności, haniebnym podziałem władzy ze skorumpowaną komunistyczną elitą i przyczyną wszystkich dzisiejszych problemów w polskim życiu politycznym. Entuzjaści świętowania tej rocznicy byli, jak się wydaje, znacznie liczniejsi, niż przeciwnicy. Wiele środowisk próbowało też poprawić własny wizerunek poprzez jej zawłaszczenie. Za najbardziej groteskowe należy uznać głosy z lewej strony sceny politycznej, które usiłowały przedstawić tamte wybory jako wspólne zwycięstwo opozycji i władzy i miały za złe, że tak mało wspomina się o ówczesnych komunistycznych dygnitarzach i nie dowartościowuje się osób z grona ówczesnego Komitetu Centralnego PZPR jako rzekomych architektów

nowego ładu. Również wykorzystanie sloganów wolnościowych i wiązanie dwudziestej rocznicy pierwszych częściowo wolnych wyborów z perspektywą swobody i państwowej promocji dla związków homoseksualnych, jak to miało miejsce podczas Parady Równości, trzeba uznać za co najmniej niesmaczne.

Spór historyków w odniesieniu do oceny tamtych wydarzeń zdaje się nabierać na sile, a dodatkowo kontrowersje wokół tamtych wydarzeń są podsycane przez ujawnienie kulisów rozmów i politycznych układów, które poprzedzały czerwcowe wybory 1989 r. Pozostawiając fachowcom ocenę tamtych wydarzeń, warto jednak wykorzystać okazję, by spojrzeć na rzeczywistość polityczną w naszym kraju w ostatnim dwudziestoleciu. Nie ulega wątpliwości, że prawidłowe funkcjonowanie demokracji jest wynikiem długoletniego kształtowania praktyki sporu politycznego. Jest też oczywiste, że kultura debaty publicznej, jaką obserwujemy w starym demokracjach, nie powstanie w Polsce automatycznie i wymaga czasu. Nie można jednak nie zadać pytania, czy to, co obserwujemy w polskiej polityce w ostatnich latach, przybliży nas do ukształtowania wysokiej kultury politycznej, czy też jest objawem zdziczenia obyczajów.

Kto stara się – przynajmniej pobieżnie – obserwować scenę polityczną, by mógł przy kolejnych wyborach świadomie opowiedzieć się za partią, która promuje istotne dla niego wartości, nie może się oprzeć pogłębiającej się frustracji. Dezorientacji, związanej z brakiem realizacji podstawowych obietnic wyborczych oraz ujawnieniem zakulisowych gier, sprzecznych z deklarowanymi celami, towarzyszy poczucie niesmaku, a nawet gniewu z powodu treści i sposobu ich wypowiedziania przez polityków. Niektóre debaty w mediach przypominają jednoczesny monolog uczestników, przy czym swój głośny monolog prowadzi także moderator dyskusji.

Zanik kultury politycznej skłania ku przypomnieniu jeszcze jednej rocznicy, ściśle związanej z rocznicą czerwcowych wyborów. Przed dziesięciu laty, 11 czerwca 1999 r. doszło do wydarzenia bez precedensu: Papież-Polak spotkał się z połączonymi izbami polskiego Parlamentu. Wygłoszone wtedy słowa, obok radości z odzyskanej suwerenności, obok wyrazów podziwu dla postawy solidarności, która połączyła Polaków, torując im drogę do przełamania systemu komunistycznego, zawierały także przestrozę. Mimo upływu lat nie straciła ona nic ze swojej aktualności. Papież napominał wtedy: *Służba narodowi musi być zawsze ukierunkowana na dobro wspólne, które zabezpiecza dobro każdego obywatela. [...] Wykonywanie władzy politycznej czy to we wspólnocie, czy to w instytucjach reprezentujących państwo powinno być ofiarną służbą człowiekowi i społeczeństwu, nie zaś szukaniem własnych czy grupowych korzyści z pominięciem dobra wspólnego całego narodu* (Przemówienie wygłoszone w Zgromadzeniu Narodowym, Warszawa 11.06.1999 r.)

Pojęcie dobra wspólnego pojawia się wprawdzie w ustach polityków, szczególnie przed kolejnymi wyborami, ale zdaje się nie być brane pod uwagę w strategiach politycznych i planach utrzymania czy odzyskania władzy. Warto w tym kontekście powtórzyć oczywistą, chociaż trudna i niewygodna prawdę: projekt budowy silnej i suwerennej Polski może się udać jedynie wtedy, gdy zostanie oparty na etosie solidarności, rozumianej nie jako konkretny związek zawodowy czy opcja polityczna, ale jako postawa i miara działania w przestrzeni publicznej. Zwracając się do polskich polityków Jan Paweł II mocno to wyakcentował: *Wyzwania stojące przed demokratycznym państwem domagają się solidarnej współpracy wszystkich ludzi dobrej woli – niezależnie od opcji politycznej czy światopoglądu, którzy pragną razem tworzyć wspólne dobro Ojczyzny.*

Kultura życia politycznego właśnie na tym polega, że współpraca jest możliwa mimo odmiennych poglądów, mimo sporu politycznego, który nie musi sięgać do ośmieszania kontrahenta, do poszukiwania skandalicznych detali z jego życia, do przekręcania jego słów, by uwydatnić niezręczności, a pominąć trafne wypowiedzi. Istnieje realne niebezpieczeństwo, że z powodu zaprzepaszczenia kultury politycznej suwerenność Polski zostanie po raz kolejny utracona z winy samych Polaków, zdolnych wprowadzić do bohaterskich zrywów i wytrwałych w latach niewoli, ale absolutnie niezdolnych do spokojnego i mądrego gospodarowania przestrzenią wolności, jeśli zostaje ona w końcu odzyskana.

Lipiec 2009

Śmierć króla

Michael Jackson, określany jako król muzyki popowej, może być faktycznie uważany za ikonę współczesnego show biznesu. Przez lata prawie nieustającej popularności stał się jednak jeszcze kimś więcej: symbolem całej współczesnej kultury w jej najbardziej problematycznych odcieniach. Jego nagła śmierć 25 czerwca 2009 roku stanowi niewątpliwie asumpt do refleksji, dodajmy – smutnej refleksji. Obdarzony niewątpliwym talentem muzycznym Jackson osiągnął rzeczywiście szczyty popularności, o jakiej może marzyć artysta. Milionowe zyski pozwoliły mu na realizację wszelkich marzeń, a jego rozległa posiadłość mogłaby stać się obiektem zazdrości wielu. Dlaczego zatem nie sposób podsumować życia tego artysty jako życia spełnionego? Refleksja nad losem Jacksona jest naznaczona jakimś głębokim smutkiem, który zdawał się cechować całe jego życie. Było to życie sztuczne w dogłębnym znaczeniu tego słowa, naznaczone brakiem akceptacji swojego wyglądu, nieustannym

miotaniem się, którego dalekim echem może chyba być niepowtarzalny taneczny styl artysty. Gwałtowne, niekiedy świadomie obsceniczne ruchy, przypominały czasami ruchy robota, wzmacniane jeszcze przez synchroniczny taniec towarzyszących mu tancerzy. Nawet jego dzieci zostały poczęte dzięki technice zapłodnienia in vitro i to, jak się twierdzi, nie Jackson jest ich biologicznym ojcem.

Już w latach osiemdziesiątych ubiegłego wieku stały się widoczne efekty operacji plastycznych, jakim artysta się poddał. Odnosiło się wrażenie, że Jackson postanowił samodzielnie stworzyć swój auto-projekt, który miał być swoistym anty-projektem w stosunku do tego, z czym przyszedł na świat. Ostatecznie miał to być anty-projekt do projektu Boga. Nic nie miało pozostać w swojej naturalnej postaci: począwszy od karnacji skóry aż do kształtu twarzy – Jackson wydawał się nienawidzić swojej fizjonomii tak dalece, że postanowił ją zmienić. Jego sukcesom artystycznym towarzyszyło coraz bardziej jakieś zasadnicze niezadowolenie, nienawiść siebie, której echem zdawały się być teksty największych hitów piosenkarza, np. „I’m bad”. Auto-projekt Jacksona nie mógł się powieść i nie powiódł się. Niezależnie od ostatecznej przyczyny śmierci, nie ulega wątpliwości jego uzależnienie od leków, szczególnie tych, które miały łagodzić głęboką depresję.

Życie Jacksona jak w lustrze odbija mentalność współczesną, która już nie chce akceptować tego, co naturalne, ale ustala pryncypialne kanony urody. Obok Jacksona ofiarami tej mentalności są całe tłumy osób dotkniętych anoreksją i kompleksami związanymi z własnym ciałem oraz tych, które uwierzyły, że zmiana wyglądu pozwoli rozwiązać życiowe problemy. Złudzenia, że tak się stanie, okazują się być niezwykle kosztowne. Los amerykańskiego piosenkarza każe postawić szereg krytycznych pytań wobec chirurgii plastycznej. Oczywiście nie ona sama, rozumiana jako zespół metod korygujących

ingerencji w ludzki wygląd, zostaje posadzona na ławie oskarżonych. Krytyczna ocena dotyczy tego, w jaki sposób jest ona promowana – nierzadko przez samych plastycznych chirurgów. By nie małał popyt na usługi „klinik piękności” sugeruje się niekiedy potencjalnym pacjentom, że operacja plastyczna będzie czymś w rodzaju całkowicie nowej szansy, która pozwoli rozpocząć nowe życie w wymarzonym ciecie.

Z chrześcijańskiego punktu widzenia nie sposób generalnie potępić wszelkie w ramach chirurgii plastycznej. Nie tylko ze względu na to, że umożliwia ona rekonstrukcję ludzkiego wyglądu u osób, których wygląd został oszpecony w wyniku nieszczęśliwych wypadków. Także tam, gdzie w grę wchodzi naturalne niedobory, z którymi człowiek się rodzi, medycyna plastyczna może w znacznym stopniu przyczynić się do lepszego samopoczucia osób dotkniętych takimi wadami. Jak to stwierdził Jan Paweł II, przemawiając w 1989 r. do grupy lekarzy zajmujących się odontostomatologią i chirurgią szczękowo-twarzową, „sprawność i piękno fizyczne należą do czynników waloryzujących człowieka, jako że w nich manifestuje się i uaktywnia jego wymiar duchowy, wspierany w wypełnianiu w sposób stosowny zadań otrzymanych od Stwórcy”. Przy takim nastawieniu papież widzi w pracy chirurgów wyraz solidarności z człowiekiem, jaka powinna cechować każde działanie medyczne. Gdy jednak chirurgia plastyczna staje się substytutem dla braku akceptacji własnego wyglądu, gdy człowiek gotów jest okaleczyć swoje ciało, by dorównać zmieniającym się kanonom piękna w złudnej nadziei, że to przyniesie wreszcie upragnione szczęście, operacje plastyczne muszą być uznane jako niemoralne.

Współczesny człowiek zagubił podstawowy postulat moralny, jaki przez każdą pojedynczą osobę musi być podjęty i ciągle na nowo realizowany. Jest nim akceptacja siebie. Jest ona istotnym aspektem właściwej miłości siebie

samego, która polega na spojrzeniu na siebie jako na Boże stworzenie, chciane i kochane w konkretnej cielesności, czyli na spojrzeniu na siebie niejako „oczami Boga”. Nawet ktoś, kto ze zrozumiałych względów decyduje się na usunięcie deformacji, nie może czekać z akceptacją siebie na pomyślny wynik operacji. Jedynie takie podejście, które jest echem Bożej miłości do każdego stworzenia, a szczególnie do każdej ludzkiej istoty, pozwala zachować wewnętrzną niezależność wobec dyktatu kanonów wyglądu. Brak tej akceptacji czyni z człowieka niewolnika, który jest w stanie zaakceptować własne życie i własny wygląd jedynie pod warunkiem, że wyczyta akceptację i przyzwolenie w oczach tych, którzy na niego patrzą.

Los Michaela Jacksona – ikony popkultury pozostanie na zawsze ostrzeżeniem przed taką próbą autokreacji, która nie potrafi i nie chce przyjąć ludzkiego życia w jego konkretnym kształcie jako Bożego daru.

Sierpień 2009

Miłość w prawdzie

Nowa, datowana na 9 czerwca 2009 r. encyklika Benedykta XVI „Caritas in veritate”, traktująca – jak głosi podtytuł – „o integralnym rozwoju ludzkim w miłości i prawdzie”, nie jest łatwą lekturą. Pierwszą trudność stanowi jej objętość – należy do obszerniejszym dokumentów Magisterium ostatnich dziesięcioleci. Ale również lektura treści encykliki zakłada miejscami dobrze zorientowanego czytelnika. Warto zwrócić uwagę na jej adresatów: papież zwraca się w pierwszym rzędzie do wierzących (wymieniając przy tym biskupów, prezbiterów, diakonów, osoby konsekrowane i wiernych świeckich), adresując jednak, jak to bywało w przypadku encyklik społecznych Jana Pawła II, swoją wypowiedź także do „wszystkich ludzi dobrej woli” (dlaczego

krakowskie Wydawnictwo „M” w przygotowanym za zgodą Sekretariatu Konferencji Episkopatu Polski tłumaczeniu usunęło z szeregu adresatów tę grupę, pozostaje zagadką!). Odpowiednio do zasadniczego ukierunkowania nie brakuje w encyklice odniesień teologicznych, czego przykładem może być chociażby podsumowujące całą wypowiedź przekonanie: *Bez Boga człowiek nie wie, dokąd zmierza i nie potrafi nawet zrozumieć tego, kim jest* (nr 78). Jednak papież nie ogranicza się do twierdzeń teologicznych, pragnąc nawiązać dialog także z inaczej wierzącymi bądź niewierzącymi, którzy są otwarci na głos Kościoła. W obszernych analizach ukazane zostają geopolityczne i ekonomiczne wymiary sytuacji współczesnego świata. Zasięg i powaga tendencji kryzysowych zostały niedawno ujawnione przez światową recesję. Wydarzenia ostatnich miesięcy, które ujawniły realne niebezpieczeństwo globalnego załamania gospodarczego, wpłynęły na czas opublikowania encykliki. Papież zdecydował się na reлектurę przygotowanego wcześniej projektu, by wyakcentować te elementy, które stały się paląco aktualne.

W świetle sytuacji, w jakiej znalazła się światowa gospodarka, ujawniły się z całą ostrością błędne koncepcje i tendencje, które z racji swej dominującej roli w ostatnich dziesięcioleciach doprowadziły świat na granicę ekonomicznej przepaści. Zasadniczym błędem, na jaki wskazuje Benedykt XVI, jest postrzeganie problematyki rozwoju wyłącznie pod kątem logiki ekonomicznej. Światowy kryzys nie jest jedynie zjawiskiem z zakresu gospodarki i ekonomii, ale jest objawem kryzysu człowieczeństwa. Benedykt XVI podkreśla, że ani rozwój ekonomiczny, ani globalizacja gospodarki i kultury nie mogą być postrzegane jako zjawiska dokonujące się nieuchronnie, automatycznie, bez możliwości korygowania ich kierunku przez człowieka. Dlatego ostateczna ocena rozwoju będzie zależała od celu i sensu, jaki zdoła mu nadać ludzkość. Jeżeli celem rozwoju ekonomicznego nie będzie *rozwój całego człowieka i*

każdego człowieka (nr 18), jeżeli ekonomia nie będzie kierowana *etyką przyjazną osobie* (nr 45), wtedy totalny kolaps gospodarczy na skalę globalną jest jedynie kwestią czasu. Benedykt XVI ukazuje przy tym ściśle powiązanie ekonomii z etyką i kulturą. By nie ulec degradacji i nie stać się zagrażającym człowiekowi monstrum, zasady, jakimi kieruje się działalność gospodarcza i ekonomiczna muszą zostać zweryfikowane w świetle podstawowego kryterium godności osoby ludzkiej.

Rozważając możliwe drogi wyjścia, papież wskazuje wprowadzić na konieczność poszukiwania konkretnych nowych modeli działalności gospodarczej, które zdołają zmodyfikować i uzupełnić sztywny i skostniały podział na przedsięwzięcia ukierunkowane na zysk (*profit*) i te, które nie czynią zeń głównego celu swojej aktywności (*non profit*). Jednak najistotniejszym elementem encykliki wydaje się być wezwanie do poszukiwania i przyjęcia *nowych stylów życia* (nr 51). Rewizja stylu życia, ukierunkowanego wyłącznie na konsumpcję i przyjemność, stanowi warunek przeżycia i rozwoju człowieka jako jednostki i gatunku. *Nadrozwój* niektórych społeczeństw, *gdy towarzyszy mu niedorozwój moralny* (nr 29), okazuje się być destruktywny nie tylko dla wielu ubogich rejonów planety, ale dla całego środowiska naturalnego, grożąc zniszczeniem naturalnych podstaw życia na ziemi. Nic więc dziwnego, że szczególną uwagę Benedykt XVI zwraca na kwestię ekologiczną. Daleki od ideologicznego ekologizmu, traktującego środowisko naturalne jako tabu, a człowieka jako nieuprawnionego agresora, papież dystansuje się także jednoznacznie od poglądów, które każą traktować naturę wyłącznie jako materię, którą człowiek mógłby dowolnie dysponować. Dla wierzącego przyroda stanowi cudowny efekt stwórczego aktu Boga, z którym człowiek ma się obchodzić odpowiedzialnie, z poszanowaniem wewnętrznej równowagi stworzenia, uwzględniając również potrzeby i prawa przyszłych pokoleń.

Spojrzenie na przyrodę jako na dzieło Stwórcy ujawnia zawartą w niej „gramatykę” wskazującą na celowość i kryteria dla mądrego, a nie instrumentalnego czy samowolnego korzystania z niej (nr 48). Papież ostrzega przy tym, że całkowite sprowadzenie natury do zespołu zwykłych danych staje się ostatecznie źródłem przemocy wobec środowiska, a nawet wprost uzasadnieniem działań, które nie szanują samej natury człowieka (nr 48).

Czy wskazywanie na miłość w prawdzie jako postawę, zdolną nadać gospodarczej i ekonomicznej działalności człowieka przyjazny dla niego samego kierunek, będzie przekonujące dla gremiów politycznych i gospodarczych, decydujących o kierunku światowej ekonomii? Dla wielu papieska encyklika pozostanie zapewne nic nie znaczącą, teoretyczną dywagacją. Jednak wydaje się, że również w kręgach zdecydowanych technokratów coraz bardziej wzrasta świadomość, że działalności gospodarczej nie można traktować jako aktywności oderwanej od moralności, kierującej się własnymi zasadami i abstrahującej od etycznej wizji człowieka i świata. Jak pokazały wydarzenia ostatnich miesięcy, już nie tylko w dalekiej perspektywie, ale na bardzo krótką metę, postawa taka może się okazać destrukcyjna dla całych społeczeństw. Należałoby sobie życzyć, by papieskie słowo, wzywające do zmiany mentalności, zostało potraktowane jako ważny głos rozsądku, którego uwzględnienie może uchronić przed globalną katastrofą.

Wrzesień 2009

Siedemdziesiąt lat po ...

Obchody siedemdziesiątej rocznicy wybuchu II wojny światowej na Westerplatte z udziałem wysokiej rangi polityków europejskich i amerykańskich ujawniły głębokie i jeszcze nie zabliźnione rany, jakie ten czas pogardy dla

wszystkiego, co głęboko ludzkie, wyrył w sercach ofiar, ale także w zbiorowej pamięci Polaków. Jednocześnie z całą ostrością ujawniła się swoista asymetria w procesie pojednania Polaków z zachodnimi i wschodnimi sąsiadami. Powojenny czas panowania władzy komunistycznej i związany z nim intensywny proces zakłamywania historii zrobił swoje: oczywistość, z jaką Polacy są gotowi wskazać na nazistowskie Niemcy jako przyczynę pożogi wojennej, kontrastuje z pewną powściągliwością w stosunku do odpowiedzialności Związku Radzieckiego za katastrofalny dla narodu polskiego przebieg działań wojennych.

Z historycznego punktu widzenia nie ma już dzisiaj najmniejszej wątpliwości. Polska została niemalże jednocześnie zaatakowana zarówno przez jej ówczesnego zachodniego, jak i wschodniego sąsiada. Mówienie o wydarzeniach z 17. września 1939 r. jako o ataku prewencyjnym Rosji Sowieckiej musi być określone jako zakłamywanie historii. Wywózki na Sybir i zbrodnie popełnione przez Armię Czerwoną i NKWD na Polakach, których swoistym ukoronowaniem była planowa eksterminacja tysięcy polskich oficerów, dokonana w 1940 r. w Katyniu, Charkowie i Miednoje i innych miejscach, odślaniają niewygodną prawdę o zbrodniczych działaniach władzy sowieckiej wobec narodu polskiego.

Musi zdumiewać, że o ile zbrodnie nazistowskie są i mogą być badane i historycznie dokumentowane w najdrobniejszych szczegółach (a przede wszystkim – dzieje się to z udziałem i przy współpracy niemieckich historyków), o tyle odkrycie prawdy historycznej odnoszącej się do zbrodni Armii Czerwonej i władzy radzieckiej na ziemiach polskich, napotyka – nawet po upływie siedemdziesięciu lat – na zdecydowany opór. Taka reakcja wielu współczesnych środowisk rosyjskich, ale także władz Rosji każe przypuszczać, że współczesna świadomość szerokich kręgów społeczeństwa rosyjskiego zbudowana jest na micie, opartym na historycznym kłamstwie. Zdecydowanej odmowy oficjalnego

uznania współudziału Związku Radzieckiego w napaści na Polskę w 1939 r. nie można wyjaśnić jedynie obawą przed ewentualnymi finansowymi roszczeniami wobec Rosji ze strony władz polskich. Jest to także odmowa dokonania oczyszczenia zbiorowej świadomości, odmowa odsłonięcia zbrodniczego oblicza Armii Czerwonej, odmowa dokonania demitologizacji przeszłości, która mocno wstrząsnęłaby zbiorową świadomością Rosjan.

Spór wokół dokumentu polskiego sejmu upamiętniającego wydarzenia związane z 17. września 1939 r. ujawnił różnice w podejściu do przeszłości. Podczas gdy jedni nie kryli rozczarowania wypowiedziami strony rosyjskiej, negującymi współwinę władz sowieckich w napaści na Polskę i dokonanych na Polakach zbrodniach, inni nawoływali do unikania sformułowań i wypowiedzi irytujących stronę rosyjską. W ten sposób spór o wydarzenia sprzed siedemdziesięciu lat stał się sporem o kształt bieżącej polityki zagranicznej. Historyczna prawda stała się kartą przetargową w bieżących decyzjach politycznych. Można i trzeba krytycznie zapytać, czy w siedemdziesiąt lat po napaści sąsiadów na Polskę nie nadszedł czas, by wreszcie móc otwartym tekstem wypowiedzieć całą prawdę o 17. września, jak od lat mówi się całą prawdą o 1. września 1939 r.? Wypowiedzenie prawdy i domaganie się jej uznania przez potomków winowajców nie jest i nie może być jednak w perspektywie chrześcijańskiej nigdy ostatnim słowem. Celem zawsze jest zabliznienie ran i ostatecznie – pojednanie, nawet, gdyby droga do niego była daleka. Pierwszym jego elementem musi być jednak uznanie prawdy. Na jej zamazywaniu nigdy nie zbuduje się autentycznego pojednania.

Jest jeszcze jeden istotny aspekt przywoływania wydarzeń sprzed siedemdziesięciu lat. Wskazał na niego Ojciec Święty Benedykt XVI, zwracając się w niedzielę, 6. września do uczestników krakowskiego kongresu dla pokoju „Ludzie i religie”: *Musimy pamiętać o dramatycznych wydarzeniach, które*

zapoczątkowały jeden z najstraszliwszych konfliktów w dziejach, który spowodował dziesiątki miliony ofiar i przyniósł tak wielki ogrom cierpień umiłowanemu narodowi polskiemu; konflikt, w czasie którego doszło do tragedii Holokaustu i zagłady innych zastępów niewinnych istot. Pamięć o tych wydarzeniach niech pobudzi nas do modlitwy za ofiary i za tych, którzy jeszcze noszą ich rany na ciele i na sercu; niech będzie też ostrzeżeniem dla wszystkich, by nie powtarzać takiego barbarzyństwa i nasilić wysiłki na rzecz budowy w naszych czasach, naznaczonych jeszcze konfliktami i przeciwnościami, trwałego pokoju, przekazując przede wszystkim młodym pokoleniom kulturę i styl życia oparty na miłości, solidarności i szacunku dla drugiego.

Każde odkrywanie kulisów tragicznych wydarzeń z przeszłości ma na celu ostrzeżenie przyszłych pokoleń przed decyzjami i postawami, które mogą doprowadzić do ponownej eskalacji przemocy na globalną skalę. Również z tego względu ważne jest ukazanie całej prawdy o przebiegu ostatniej wojny, wraz ze wskazaniem na odpowiedzialnych i pociągnięciem ich do chociażby moralnej odpowiedzialności.

Październik 2009

Tysiąc contra Archidiecezja

Wyrok Sądu Okręgowego w Katowicach z 23 września 2009 r. rozniecił na nowo spór o aborcję, ale też o granice wolności słowa. Wśród tryumfujących komentarzy, formułowanych także przez znanych postów i polityków, pojawiły się proklamacje tego wyroku jako końca ery rzekomej społecznej hegemonii Kościoła w Polsce. I właśnie powszechność takich komentarzy wskazuje, że nie jest to spór o pojedynczy, przyznać trzeba, tragiczny przypadek. Wyrok sądu wydaje się zmierzać do stworzenia precedensu, który sprawiłby, że każdy, kto w

kwestii aborcji nazywa rzeczy po imieniu, musiałby liczyć się z odpowiedzialnością karną za rzekomy „język nienawiści”. Pojęcie to słyszy się coraz częściej, powtarzane jak mantra w stosunku do każdej katolickiej krytyki wobec aborcji, zapłodnienia *n vitro* czy też legalizacji związków homoseksualnych. Określenie to ma zdyskredytować katolików i ich krytykę jako niemoralną, bezprawną, godną gwałtownego potępienia i sądowego procesu. Cel tych medialnych zabiegów jest oczywisty: jeżeli pojęcie to, dzięki zmasowanej medialnej propagandzie, będzie w mentalności społecznej utożsamiane z poglądami katolickimi, ich eliminacja z dyskursu publicznego będzie o wiele łatwiejsza.

Nie dziwi, że oskarżenie o pogardę i skrajną niechęć ze strony Kościoła padają z ust zwolenników aborcji. Musi jednak niepokoić, gdy pojawiają się w ustnym uzasadnieniu wyroku skazującego Kościół w osobie prawnej Archidiecezji Katowickiej na karę grzywny i publiczne przeprosiny za zdecydowaną obronę prawa nienarodzonych do życia. Właśnie taki jest prawdziwy wymiar tego procesu. Pani Alicja Tysiąc już dawno przestała być jedynie osobą prywatną, ale uczyniła ze swojego, niespełnionego na szczęście, zamiaru dokonania aborcji wydarzenie na miarę ogółośnoeuropejską. Może bezwiednie, a może całkiem świadomie – przynajmniej w zamiarze jej doradców – stała się ikoną sporu o liberalizację prawa do aborcji w Polsce.

Stąd też absurdalna wydaje się argumentacja, znajdująca się w ustnym uzasadnieniu wyroku katowickiego sądu. Stwierdzenie, że wolno prezentować pogląd o niegodziwości aborcji „w ujęciu generalnym”, ale nie wolno odnosić go do konkretnych osób, prowadzioby do tego, że aborcja straciłaby realną twarz, a stała się jakimś eterycznym problemem. Aborcja jest właśnie dlatego tak straszną zbrodnią, że zabijane są konkretne, niepowtarzalne dzieci, które już nigdy nie będą miały szanse przeżyć własnego życia. To nie Kościół nagłośnił

sprawę Alicji Tysiąc. Nie brakuje podobnych spraw, które na zawsze pozostają tajemnicą konfesjonałów. Potępiając zdecydowanie aborcję, Kościół zazwyczaj unika odniesień personalnych, zdając sobie sprawę z tego, jak bardzo dramatyczne mogą być okoliczności takiej decyzji. Wystarczy tylko przeczytać nr 99 encykliki Jana Pawła II, skierowany wprost do kobiet, które popełniły aborcję, by przekonać się o tym, jak dalece Kościół zdaje sobie sprawę z dramatu, jaki zazwyczaj towarzyszy decyzji o aborcji. Gdy jednak jakiś pojedynczy przypadek staje się ikoną i siłą napędową ruchu zmierzającego do legalizacji aborcji, nie wolno milczeć i zadowalać się ogólnymi uwagami i okrągłymi porównaniami.

Wyrok katowickiego sądu precyzuje sedno zarzutu: powódce należą się publiczne przeprosiny *za bezprawne porównanie pani Alicji Tysiąc do hitlerowskich zbrodniarzy*. Wyrok ten jest tym bardziej zdumiewający, że w ustnym uzasadnieniu Pani sędzia stwierdza, że w publikacjach „Gościa Niedzielnego” *nie ma bezpośredniego porównania powódki do hitlerowców, ale sens tej publikacji jest dla powódki obraźliwy, ponieważ zgodnie z przeciętnym rozumieniem czytającego to człowieka wynika z tego jasna paralela*. Odnieść można wrażenie, że „Gość Niedzielnny”, a wraz z nim Archidiecezja Katowicka, zostali skazani za to, jak słowa redaktora naczelnego zostały zrozumiane przez przeciętnego Kowalskiego. Paralela ta jest rzeczywiście drastyczna. Jednak jej sednem nie jest porównywanie pojedynczych osób do zbrodniarzy hitlerowskich. Tym, co każe przywoływać ponure czasy nazizmu jest powszechność aborcji i łatwość, z jaką we współczesnym świecie szafuje się życiem nienarodzonych. Jak w wielkich hekatombach, w których ginęły miliony ludzi, tak również dziś miliony nienarodzonych są uśmiercane w majestacie prawa.

Oburzenie sądu wzbudziło też to, iż w publikacjach „Gościa Niedzielnego” porównywano córkę pani Tysiąc do rzeczy, za którą wypłacono odszkodowanie. W uzasadnieniu sędzia sformułowała emocjonalne pytanie: *Czy pozwani nie mieli świadomości, jak bardzo poniżająca dla powódki jest taka wypowiedź?* Na to pytanie trzeba by odpowiedzieć również pytaniem: Czy powódka nie zdaje sobie sprawy, jak bardzo poniżająca dla jej dziecka będzie świadomość, że nie byłoby go dziś na świecie, gdyby jego matka miała możliwość realizacji swojego zamierzenia?

Przyszłość świata i jakość społeczeństw zależy od tego, jak obchodzą się one z najsłabszymi. Dzieci nienarodzone nie są w stanie same podnieść głosu w obronie swojego niezbywalnego prawa do życia. W tej sprawie Kościół nie da się zamknąć do zakrystii i nie będzie milczał. Świętym obowiązkiem jego pasterzy, ale też szlachetną powinnością każdego wierzącego jest sprzeciw wobec zabijania nienarodzonych. Mając przed oczyma zdecydowanie, z jakim Jezus bronił najsłabszych, Kościół chce stać się ich głosem.

Listopad 2009

Ludzie z nikąd

W październikowym wydaniu renomowanego czasopisma „Nature” doniesiono, że naukowcom z amerykańskiego Uniwersytetu Stanforda udało się tak ukierunkować rozwój komórek macierzystych, że stały się one plemnikami zdolnymi do zapłodnienia oraz komórkami jajowymi we wczesnej fazie rozwojowej. Eksperymentu dokonano na embrionalnych komórkach macierzystych uzyskanych z zarodków ludzkich powstałych w wyniku zapłodnienia in vitro. Kolejnym krokiem ma być powtórzenie całej procedury z użyciem „dorosłych” komórek macierzystych uzyskanych z komórek skóry. Ten

badawczy sukces już został okrzyknięty przełomem w leczeniu bezpłodności, szczególnie w przypadku niemożności dostarczenia gamet rozrodczych przez potencjalnych rodziców. Ma on także umożliwić wytworzenie środka farmakologicznego, który mógłby spowodować opóźnienie menopauzy.

Trudno się dziwić, że eksperyment ten wzbudził w wielu środowiskach poważne zaniepokojenie etyczne. Zastrzeżenia etyczne są tu wprawdzie podobne, jak w przypadku zapłodnienia in vitro, jednak sięgają znacznie głębiej. Są one dwojakiego rodzaju. Najpierw odnoszą się do projektu wykorzystania nowej techniki w ramach sztucznej reprodukcji. Chodzi zarówno o rozumienie rodzicielstwa, jak i o sposób powoływania do życia nowej istoty ludzkiej. Jeżeli już w przypadku procedury in vitro mówi się o „sztucznym” zapłodnieniu, to ta „nienaturalność” w tym wypadku znacznie się pogłębia. Już odnoszone do in vitro stwierdzenie, że lekarz jedynie pośredniczy i pomaga w naturalnym procesie zapłodnienia, gdy nie może on osiągnąć skutku naturalną drogą, było problematyczne. W przypadku tworzenia gamet rozrodczych z komórek macierzystych mielibyśmy jednak do czynienia z procesem technologicznym, który zastępuje nie tylko naturalne zapłodnienie, ale także naturalne wytwarzanie i dojrzewanie gamet rozrodczych. Należy wprawdzie podkreślić, że każdy człowiek, niezależnie od tego, w jaki sposób powstaje, jest godną szacunku i pełnowartościową ludzką osobą. Takimi pełnoprawnymi istotami ludzkimi byłiby także ludzie poczęci ze sztucznie wyprodukowanych gamet rozrodczych. Jednak uwłaczające ludzkiej godności potraktowanie człowieka jako produkt procesu technologicznego osiągnęłoby w tym przypadku swoje apogeum. Jeżeli już w przypadku zapłodnienia in vitro mówiło się o produkcji ludzi na życzenie, to o wiele bardziej pojęcie „produkcji” można by odnieść do takiego sposobu rozrodu. Dowolność konfiguracji, jaką otwiera nowa metoda pozyskiwania gamet rozrodczych, np. perspektywa ich tworzenia z komórek

macierzystych uzyskanych od partnerów związku homoseksualnego, sprawia, że pojęcia „matka” i „ojciec” przestają mieć jakiegokolwiek znaczenie. Zatarcie tych granic niszczy nieodwołalnie niezwykle wrażliwy i istotny czynnik ludzkiej tożsamości: sieć relacji rodzicielskich, poczucie przynależności do konkretnego drzewa genealogicznego, poczucie osadzenia w żywej historii konkretnych przodków.

Mimo, że w doniesieniach prasowych o sukcesie amerykańskich naukowców właśnie perspektywa skuteczniejszego niwelowania skutków niepłodności wysuwa się na pierwszy plan, jej zastosowania w praktyce klinicznej, jak się wydaje, nie należy się zbyt szybko spodziewać. Bliższe zastosowania praktycznego jest wykorzystania procedury produkowania gamet w obszarze badań podstawowych z wykorzystaniem ludzkich embrionów. Eksperymenty „zużywające”, tzn. takie, w wyniku których embriony giną, dotyczą nie tylko pozyskiwania i wykorzystania embrionalnych komórek macierzystych dla celów terapeutycznych, ale także badań nad nowymi generacjami preparatów antykoncepcyjnych. Jeżeli komórki jajowe i plemniki będą mogły być wytwarzane również z „dorosłych” komórek macierzystych, wtedy dostęp zainteresowanych naukowców do zarodków będzie praktycznie nieograniczony, a one same staną się jeszcze bardziej materiałem biologicznym. Instytuty naukowe pragnące pozyskać embrionalne komórki macierzyste, nie będą już musiały sięgać po zamrożone zarodki, pozostałe z zapłodnienia in vitro bądź też pozyskiwać komórki jajowe i plemniki od dawców – kobiet i mężczyzn. W obu przypadkach działania te, nawet jeśli są w niektórych krajach dopuszczalne, wiążą się z koniecznością zachowania prawnych obwarowań i formalności. W przypadku nowej metody zapotrzebowanie na komórki jajowe i plemniki będzie mogło być zaspokajane w ramach ośrodka badawczego, a produkcja embrionów do badań będzie mogła się opierać np. na dostarczonych

przez ekipę badawczą komórkach somatycznych. Pogłębi się przez to jeszcze bardziej dotychczasowa selekcja embrionalnych istot ludzkich: na te, które w przyszłości mają być upragnionymi dziećmi niepełnych rodziców a tymi, które powstały tylko po to, by stanowić materiał badawczy, już w momencie powstania przeznaczony do zniszczenia.

Odkrycie amerykańskich naukowców musi być postrzegane jako jeden ze skutków upowszechnienia metody zapłodnienia in vitro. Widać coraz wyraźniej, że ta metoda, określana przez jej zwolenników jako jedyna nadzieja dla zrozpaczonych niepełnych rodziców, wytworzyła bardzo problematyczną dynamikę prowadzącą do całkowitego uprzedmiotowienia człowieka w pierwszym stadium jego egzystencji. Przed takim scenariuszem Kościół ostrzegał już w wydanej w 1987 r. instrukcji Kongregacji Nauki Wiary „Donum vitae”. Nowa instrukcja z 2008 r. – „Dignitas Personae” jeszcze dobitniej podkreśla to niebezpieczeństwo, deklarując zdecydowany sprzeciw Kościoła wobec uprzedmiotowienia ludzkich zarodków: *Tworzenie embrionów z zamiarem ich zniszczenia, nawet jeśli przyświeca temu intencja niesienia pomocy chorym, jest całkowicie niezgodne z godnością człowieka, ponieważ czyni z życia istoty ludzkiej, choć jest ona w stadium embrionalnym, jedynie narzędzie do wykorzystania i zniszczenia. Poświęcanie ludzkiego życia dla celów terapeutycznych jest głęboko niemoralne* (nr 30).

Trudno nie określić produkcji istot ludzkich i ich selekcji u początku istnienia, jak też wykorzystywania ich dla celów badawczych, jako zabawy w Boga. Świadczy ona nie tyle o boskiej potędze, ile o duchowej nędzy naszej cywilizacji.

Grudzień 2009

Walka z krzyżem

Nie milkną echa listopadowego wyroku Europejskiego Trybunału Praw Człowieka, w którym nakazano zdjęcie krzyży w klasach włoskich szkół. Nawet, jeżeli wyrok ten dotyczy jedynie Włoch, trudno nie uznać go za decyzję precedensową, która będzie miała reperkusje ogółouropejskie. Dla wierzących, ale także dla wielu ludzi dobrej woli uzasadnienie tego wyroku jest kuriozalne, żeby nie powiedzieć – skandaliczne. Wiszący w klasie krzyż miałby rzekomo naruszać prawo rodziców do wychowania dzieci zgodnie z własnym przekonaniem oraz stanowić wykroczenie przeciwko wolności religijnej uczniów.

Przesłanki, na których opiera się ten wyrok, nie są światopoglądowo neutralne, ale są wyrazem określonej koncepcji miejsca religii w przestrzeni publicznej, dodać należy – koncepcji ateistycznej. Zgodnie z nią świeckość państwa miałaby polegać na tym, że sfera publiczna będzie całkowicie pozbawiona odniesień do religii, rzec by można – będzie w tej materii całkowicie „sterylna”. Nie oznacza to neutralności, ale wrogość wobec religii. Świeckie państwo tolerowałoby wprowadzenie religię, jednak wyłącznie jako sprawę ściśle prywatną, rugując przy tym wszelkie jej ślady z przestrzeni publicznej. W ten sposób przestrzeń ta stałaby się faktycznie a-teistyczna, a wierzący zostaliby zmuszeni do tego, by, poruszając się w niej, sprawiali wrażenie niewierzących.

Za postulatami zdejmowania krzyży kryje się więc zamiar ateizacji życia publicznego. Nie ma to nic wspólnego z postulowaną w demokracji zasadą świeckości państwa wraz z prawem do swobodnego wyznawania i praktykowania wybranej przez siebie religii. Zasada ta bowiem nigdy nie

oznacza *wolności od konfrontacji* z (inaczej) wierzącymi i to szczególnie wtedy, gdy ludzie przyznający się do jakiejś religii stanowią w jakimś państwie większość. Gdyby tak było i gdyby państwo musiało zabezpieczyć każdego ateistę przed konfrontacją z krzyżem, należałoby nie tylko zdjąć krzyże ze ścian szkolnych klas i szpitalnych sal, ale także zlikwidować przydrożne kapliczki oraz krzyże na wieżach kościołów, a nawet wprowadzić zakaz otwartego noszenia krzyża na szyi, gdyż także taki widok mógłby godzić w prawo niewierzących do wolności religijnej. Prawo *do* wolności religijnej nie może jednak być utożsamiane z prawem wolności *od* religii, jeżeli miałoby to oznaczać, że w otoczeniu, w jakim pojawiają się ateści, nie może być znaku krzyża. Jaskrawe uprzywilejowanie zdania pojedynczych, wrogich chrześcijaństwu jednostek wobec woli większości społeczeństw europejskich, jest nie tylko niepokojącym znakiem, że implementacja projektu ateizacji Europy dokonuje się poprzez ogólcnoeuropejskie instytucje, ale także świadectwem ignorowania przez nie zdania większości obywateli Europy.

W wyroku Trybunału Strasburskiego doszła ponownie do głosu niemalże chorobliwa awersja wobec chrześcijaństwa, której wcześniejszym wyrazem była kampania przeciwko umieszczeniu w podstawowych dokumentach Unii Europejskiej odniesienia do Boga i chrześcijańskich korzeni Europy. Korzenie te to, zdanie entuzjastów Europy bez Boga, tradycja starożytnego Rzymu oraz dziedzictwo europejskiego Oświecenia, ale nie wiara chrześcijańska, kształtująca europejską kulturę przez wiele stuleci. Abstrahując od ideologicznego wymiaru tego sporu o europejską tożsamość, należy stwierdzić, że taki pogląd oznacza oczywiste fałszowanie historii. Zbiorowa świadomość wielu narodów Europy jest nieodłącznie związana z tradycją chrześcijańską, a więc także z symbolem krzyża i bez tego byłaby po prostu niezrozumiała.

Obecność krzyża w szkole ma dodatkowo jeszcze inne znaczenie. Szkoła nie jest po prostu własnością państwa, ale miejscem wychowania, pozostającego przecież w pierwszym rzędzie we gestii rodziców jako ich prawo i obowiązek. Jest zatem miejscem uczenia postaw, dzięki którym kształtowani są odpowiedzialni i prawi obywatele. Krzyż odgrywa w tym kontekście rolę przekraczającą jedynie wymiar religijny, będąc znakiem poświęcenia i miłości do człowieka. Nawet, jeżeli ktoś odrzuca bóstwo Chrystusa, wiarę chrześcijańską i Kościół, może w postaci Jezusa z Nazaretu dostrzec obraz doskonałego człowieczeństwa, konsekwentnej wierności wobec tego, co dobre i prawdziwe, a także poświęcenia najwyższym ideom nawet za cenę życia. Są to wartości uniwersalne, na których opiera się europejska kultura z jej wyakcentowanym szacunkiem wobec każdego pojedynczego człowieka. Humanizm, który byłby wprowadzie postulowany, ale zostałby odcięty od tych kulturowych korzeni, nie będzie w stanie kształtować sumień młodych ludzi.

Można przypuszczać, że gwałtowny sprzeciw, jaki w społeczeństwach wielu krajów wywołał wyrok Trybunału Strasburskiego, był spowodowany głębokim niepokojem o los i kształt integrującej się Europy. W fatalny sposób usiłowanie usunięcia krzyży przypomina postępowanie dwudziestowiecznych dyktatur, szczególnie ateistycznego komunizmu. Polskie społeczeństwo w szczególnie bolesny sposób odczuło skutki komunistycznej wojny z Kościołem, którego elementem była nienawiść do chrześcijańskich symboli religijnych. Strasburski wyrok każe się zastanowić nawet euro-entuzjastom, czy projekt wspólnej Europy, rozumiany nie tylko w kategoriach ekonomicznych i finansowych, ale także aksjologicznych i etycznych, w kształcie promowanym obecnie przez czołowe instytucje europejskie, jest godny poparcia.

Ks. Marian Machinek MSF